

TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 7.

POZNAŃ 16^{go} Listopada 1878 roku.

Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi
rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki —
kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1½ arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie
1 zlr. 25 cent.
Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie
i urzędy pocztowe.

Koleje życia.

Powieść

J. J. JEZA.

(Ciąg dalszy).

Temu ostatniemu nigdy zapewne ani się śniło mieszkać tak po pańsku. Na rozporządzenie jego było dwanaście pokoi. Dwanaście pokoi! dla jednego człowieka? On pozwalał sobie marzyć o jednym schludnym pokoiku, po którym każdyby poznał, że mieszka w nim człowiek porządny. Rzeczywistość prześcignęła najzuchwalsze jego marzenia. Już tu porządek zeszedł na drugi plan. Zastąpił go przepych, przepych wydmuchany, wytrzepany, wygładzony, wyczyszczony, wypoliturowany, wywietrzony, wykadzony, przepych puszysty i sprężysty i wszystkim naraz dogadzający zmysłom.

W dwunastu pokojach Edwardowego pawilonu, znajdował się osobny przeznaczony do spania, osobny do drzemania, osobny do ubierania się, osobny do mycia się, osobny do pisania, w osobnym umieszczone była biblioteka, było parę salonów i galerya i pokój jadalny. Osobno cały komplet służby — kamerdyner, lokaje, fryzjerzy i frotery — przywiązany był do tego pawilonu.

Dyana przyjechawszy, osobiście obeszła i wszystko obejrzała i służbie nakazała, ażeby mający przybyć pan był zupełnie tak traktowany jak Elias.

Wszystko to było dla Edwarda nową niespodzianką, której nieprzewidywał.

Spieszył, ażeby oddać swój zwiększony różnemi dodatkami kapitalik na 8 procent, ażeby zacząć pobierać 6000 złp., ażeby jadać obiady takie, jakich próbki miał w Odessie; o czem innem nie myślał.

Obrócił drogę na Odessę, bo tędy było i prościej i wygodniej i taniej, niż wciąż pocztą na Mikołajów i Symferopol; wsiadł na parostatek, wylądował w Teo-

dozy i zastał czekającą na siebie karetę i konie wierzchowe z dodatkiem eskorty do przeprowadzenia a w potrzebie przeniesienia go po trudnych drogach.

W Kamionkach na samym wstępie doznał przyjęcia, z którego w pierwszym momencie nie umiał sobie sprawy zdać. Kamerdyner go zapytał, czy chce się udać do swoich apartamentów.

— Oczywiście odpowiedział, myśląc, że zaprowadzony zostanie do izby o jednym łóżku, jednym stoliku, dwóch krzesłach i komodzie na bieliznę. Dostawszy się więc do salonu, niewiedział co to znaczy. Stał i ogłądał się. Nie śmiał za drzwi wyjrzeć, z obawy popełnienia jakiej niedyskrecyi. Mina jego wyrażała zakłopotanie, z którego nie wyszedł pierwój, aż gdy go ten sam kamerdyner zapytał, czy nie chce się przebrać.

— Czy pani w domu? rzekł, znalazłszy się w pokoju przeznaczonym do ubierania się.

— W domu, odpowiedział kamerdyner, przysposabiając na gotowalni srebrne miednice i pozlacane nalewki i kubki i rozkładając symetrycznie mydła, szczotki, gąbki, słoiki i flakoniki; kazała pana prosić do siebie po przebraniu się.

Umył się. Fryzjer, który się zjawił jak w czarowanym pałacu, upomadał jego głowę i uczesał. Kamerdyner, przy pomocy lokaja, ubrał go; dał mu w końcu woniejącą chustkę do nosa i zapytał:

— Chce pan przejść do pani?

— Dobrze, odparł Edward.

— Rozkaże pan siebie poprzedzać?

— Proszę.

Kamerdyner poskoczył, otwierał przed nim drzwi na szyć i, przeszedłszy przez długi szereg pokoi, wprowadził go do salonu, którego progu nie przekroczył. W salonie czekała Dyana.

Salon to był niewielki, umeblowany na sposób wschodni, w szerokie niskie sofy dywanami zwane, miękkie i zasłane puszystymi kobiercami, zakrywającymi całą podłogę. Sofy szły do koła po pod ścianami. Oprócz nich żadnego innego nie było mebla, ani żadnego malowidła na ścianach, okrytych rzeźbą z palisandru. Okna przysłaniały ciężkie firanki. Ciemny kolor palisandru, w połączeniu z półświatłem przez firanki się przedzierającym, nadawały salonowi pozór jakiejś tajemniczości.

Dyana ubrana w bieli siedziała wpołużając w rogu dywanu. Ubiór jej miał w sobie jakby ukrytą jakąś intencją, czynił ją bowiem i młodą i piękną i pociągającą. Suknia z lekkiego muszlinu niby obłok owiewała jej postać, czarne oczy błyszczały jak zarzewie; w kruczych włosach przewijał się sznur pereł, tonący w bujnym warokoczu od niechcenia na nagie spływającym ramieniu.

— Cóż, panie Edwardzie? rzekła ukazawszy gościowi swemu miejsce obok siebie. Jak się panu zdaje? Nie źle jesteśmy instalowani.

Edward z uśmiechem dał głową znak potwierdzenia.

— Obejrzałeś pan swój apartament?

— Jeszcze nie.

— Trzeba żebyś obejrzał, czy czego nie brak. Zajmujesz pan cały lewy pawilon. Opatrywałam go. Masz tam bibliotekę, którą sformowałam z tych wszystkich książek, których w Ojessie sam widok sprawiał na mnie efekt lekarstwa na sprawienie nudów. Ale niektórym panom to się podoba. Kazałam zabrać na wszelki wypadek. Byłeś pan w bibliotece swojej?

— Jeszcze nie, powtórzył Edward.

— A jakże znalazłeś salony swoje?

Wyraz „swoje,” dwa razy powtórzony, dał Edwardowi poznać, że pomieszkowanie jego obszerniejszem jest trochę jak się spodziewał. Odpowiedział więc:

— Tylko co przyjechałem. Nie miałem jeszcze czasu rozpatrzyć się

Dyana nic na to nie odrzekła. Okręciła parę razy ze słoniowej kości wachlarz, który w rękę trzymała i zapytała:

— Załatwiłeś swoje interesa?

— Załatwiłem.

— Bez żadnego z opieką zatargu?

— Bez... to jest... hm... bąkał, miałem mały, nic nieznaczący zatarg, ale ten się załatwił.

— To jest, dałeś za wygraną z własną szkodą, byle procesu uniknąć.

I niedając Edwardowi przyjść do słowa, ciągnęła dalej:

— O! wiem ja co to opieka.. Byłam i ja pod opieką, która pozostawiła mi po sobie przykrych wspo-

nień dużo. No, ale to dobrze, żeś się załatwił. Nie masz już żadnych ze stryjem interesów?

— Żadnych.

— To dobrze, bardzo dobrze. O! opieka

Zamilkła, zamyśliła się i w milczeniu przez jakiś czas patrzyła na Edwarda, który oczy spuścił jak dziewczyna.

— Przywiozłeś pan swój kapitałik? zapytała go w końcu.

— Przywiozłem.

— Wezmę go pod moją osobistą opiekę i postaram się, ażeby rósł, rósł jak najwyżej, ale nie dziś. Dziś musisz być podróżą zmęczony. Odpocznij i rozpatrz się. Odpoczywaj przez dni trzy, a po trzech dniach, dodała z wyrazem surowej łagodności, rozpoczniesz swoją służbę.

Daliej rozpytywała jeszcze o podróż, o wypadki, o chersońskie stopy, o wrażenie na morzu i o różne tym podobne rzeczy, a następnie opowiedziała o zaprowadzonym trybie życia. Edward dowiedział się, że godziną do wstawania jest ósma, godziną wspólnego śniadania dwunasta, obiadu siódma po południu, do spania jedenasta.

— Bo na wsi, mówiła Dyana, trzeba życie po wiejsku prowadzić: wcześniej iść spać i wcześniej wstawać.

Dowiedział się także, że do obiadu przychodzić potrzeba we fraku, białej kamizelce i białej krawatce.

— Niechęć zaprowadzać ultra sielskiej *sans-gène*; ktoś przecie może do naszego zablądzić ustronia.

Dowiedział się również, że lektorską swoją funkcją będzie pełnił rano od dziesiątej do jedenastej, i wieczorem od jedenastej do dwunastej.

— Oto cały obowiązek pański. Resztą czasu rozporządzaj jak ci się podoba. Jeżelibyś czegoś zachciał, na przykład rano do łóżka filizankę czekolady lub w ciągu dnia jakiego *refraichinement*, powiedz tylko swemu kamerdynerowi, a jego obowiązkiem jest, ażeby wszelkiemu pana żądaniu uczynionem było zadość.

Ta rozmowa otworzyła Edwardowi oczy na tajemnice pałacowych zwyczajów i życia, jakie go w Kamionkach czekało. Zdaje się, że Dyana wiedząc z kim ma do czynienia, umyślnie ją zawiązała, niechając ażeby jej protegowany naraził się na jakąś, jak Francuzi powiadają, *gaucherie*.

Edward więc o siódmej wystąpił do obiadu we fraku, białej kamizelce i białej krawatce i przy obiedzie dopiero spotkał się ze swoim elewem, o którym Dyana ani wspomniała.

Do stołu zasiadło ich tylko troje. Dyana ubrana inaczej niż w tureckim saloniku, ale zawsze *decolletée*, w lokach i bardzo gustownie, była wesoła. Zwracała się z rozmową od syna do Edwarda i od Edwarda do syna, śmiała się i sypała dowcipami, umiając używać je tak zręcznie, ażeby nieprzyzwyczajony do tego rodzaju rozmowy Edward, mógł w niej brać udział.

Obiad przeciągnął się do ósmej. Wstawszy od stołu, Dyana odeszła, a nasz bohater ze swoim elewem

udali się do sali bilardowej. Ujrawszy bilard, przypomniał sobie Edward swój mentorski charakter i wyłożył teorią elastyczności, sprawiającą, że elastyczne ciała odskakują pod tym samym kątem, pod którym padają. Gdy jednakże do praktyki przyszło, pokazało się, że elew posiadał ją w bezporównania wyższym niż mentor stopniu.

Okolo dziewiątej wyszli do ogrodu, gdzie się do nich przyłączyła Dyana. Noc była pyszna, lipcowa. Księżyc świecił w pełni. Edward zawiązał rozmowę o księżycowym świetle i opowiadał w jaki to on je sposób u słońca pożyczca. Następnie mówił o funkcji księżyca w słonecznym systemie, o słonecznym systemie, o naturze słońca, gwiazd stałych, planet i komet. W ciągu tej rozmowy Dyana ścisnęła go za rękę i szepnęła mu na stronie do ucha:

— Doskonale pojąłeś pan swoją rolę.

O dziesiątej podano herbatę z wędlinami i fruktami. O jedenastej Dyana udała się do swoich apartamentów, Elias do swoich, Edward do swoich.

Długo nie mógł zasnąć, a wciąż sobie powtarzał:

— W czepku się widać urodziłem.

Gdy usypiał, wydawało się mu, że jest w raj, tak wszystko czego doznał było dla niego pięknem, dziwnem, cudnem, nadzwyczajnem i zachwycającem.

Tak minął dzień pierwszy. Na drugi poszło jeszcze składniej. Kamerdyner ubierając go powiedział, że pani przysłała z zapytaniem, czy nie życzy sobie odbyć w jej towarzystwie konnej przejażdżki. Wypiswszy więc na prędce filizankę czekolady tak wyborniej, do jakiej Kiruty ani się umywała, pojechał obok Dyany, ubraniej w amazońkę i niski z szerokim rondem i piórami kapelusik. Jazda konna niedobrze mu się wiodła; jednakże przy pomocy Dyany i łagodnego konia odbyła się bez szwanku. Jeździli po równych drogach. Dyana mówiła, że kiedyś, to znaczyło: „jak się nauczy moeno na koniu trzymać,” poprowadzi go na góry nad urwiska.

— Lubię się wspinać jak sarna, zawisać w powietrzu i zmuszać konia do skakania przez przepaście.

Była *écuyerka* doskonałą. Prowadziła konia zręcznie i śmiało. Z powrotem zamiast wjechać przed pałac przez bramę, przysadziła przez baryerę.

W parę godzin po przejażdżce nastąpiło śniadanie. Po śniadaniu, zostawiony samemu sobie, rozpatrywał się Edward w swoim pomieszkaniu. Rozpatrywał się z tą ciekawością prostoty, która do wszystkiego potrzebuje dotknąć się palcem. Mógł sobie na to pozwolić, jako że nikt na niego nie patrzył. Obejrzał bibliotekę i znalazł w niej zbiór wszystkich znakomitości, o których z katedry słyszał.

— Będę czytał, będę się uczył, pomyślał.

Potem przyszedł obiad, po obiedzie gra w bilard, przechadzka w ogrodzie, herbata i upłynął dzień drugi.

Upłynął i trzeci.

W czwartym Dyana wezwała go o dziesiątej rano do siebie.

— Dziś nie będzie lektury, rzekła gdy wszedł.

Musimy skończyć pieniężne interesa, poczem przestaniesz już być gościem.

To rzekłszy poprowadziła go do pokoju mającego biurowy pozór, sztywny i surowy, pomimo kanap i foteli. W oknach grube żelazne kraty, w pośrodku stół zielonym zakryty sukmem, pod ścianą żelazna szafa.

— To moja kassa podręczna. Przynies tu swoje pieniądze.

Edward wyszedł i w kilka minut był z powrotem. Dźwigając w ręku worek z pecami, zawierający w sobie fundusik przez ojca zostawiony i narost z oprocentowanych procentów i własne oszczędności.

— Siadajże i licz.

Edward wysypał na stół rulony.

— Ile zawiera rulon? zapytała Dyana.

— Sto półimperyaków.

— Obejdzcie się więc bez liczenia sztuki po sztuce.

A policzywszy rulony wstała, otworzyła szafę, w jedną z szuflad kazała Edwardowi złożyć pieniądze, zamknęła szafę i wręczając mu klucz rzekła:

— Oto rewers, pewniejszy niż wszelkie pisane i legalizowane. Po upływie każdego roku obliczysz swoją sumę i do swojej szuflady dołożysz przypadającą ilość procentów po 8 prtc. To uprości rachunek i usunie wszelki formalizm, którego ja znieść nie mogę.

I dodała z ujmującym uśmiechem.

— Przynajmniej my interesa, jakie pomiędzy nami zachodzą, prowadźmy po przyjacielsku.

I podała rękę, którą Edward uściśnął i ucałował.

— W każdej chwili, bez odwoływania się do kogo bądź, nawet do mnie, możesz pan zabrać swoje pieniądze. Do tej kassy wstęp otwarty tylko dla pana. Są tu i moje pieniądze, które pańskiej powierzam opiece, ale opiece poufnej, przyjacielskiej, nieobleczonej w charakter kasyerstwa. Ile razy będę potrzebowała jakiej kwoty, tylko pan, albo ja, albo oboje razem po nią pójdziemy.

VIII.

Jak wszystko na świecie przemija, tak przeminęło i zdziwienie Edwarda. Niemogłoż bo wiecznie trwać. Przemineło i życie jego się uregulowało. wszakże nie jak zegarek w nudny i w pewnych czasu odstępach wciąż się powtarzający szereg jednostajności. Przeplatały je rozrywki, których wyliczać nie mogę, bo musiałbym wymienić trzysta sześćdziesiąt pięć rozrywek, to jest tyle ile rok ma dni; a w drugim roku znów drugich trzysta sześćdziesiąt pięć, pomiędzy którymi znalazłyby się i powtórzone, lecz z modyfikacjami, zmianami i udoskonaleniami. Powiem więc krótko, że i Edward był szczęśliwy i Dyana była szczęśliwa: Edward, bo stanął w warunkach które mu pozwalały i pomagały być skończeniem porządnym człowiekiem; Dyana, bo pomimo piątego krzyżyka

była panią swego serca, swoich myśli i fantazyi, była królową.

Umyślnie zestawilem Edwarda i Dyane, ażeby powiedzieć, że był ktoś, komu się ich szczęście niepodobalo. Nieledwie bym się założył, że czytelnik odgadnie, iż owym ktosiem nie był kto inny, tylko — Elias.

Stało się, co się stać musiało. Eliasza zrazu nie kłuło w oczy, że jakiś tam intruz na równiej z nim stanął stopie. Podobało mu się nawet obcowanie z człowiekiem równego prawie wieku. Nawet od tego człowieka korzystał więcej niż od profesorów i guwernantek, i Dyana mogła sobie powinszować wynalazku systemu edukacyjnego, który niewprawiał syna w drzemanie. Lecz z upływem czasu, zażyłość Edwarda z matką, zażyłość, której znaczenia nieumiał sobie dobrze wytłómaczyć, poczęła go razić. Po upływie dwóch lat zaczął na Edwarda patrzeć przez ramię, z pewnym wyrazem indygnacyi. Przed kamerdynerami i lokajami odzywał się o nim z pogardą. Jemu samemu przy każdej okazji ubliżał się starał.

Było to dla Edwarda jedyne zmartwienie, które mu dokuczało, ale niedługo. Nieprzyszło do żadnej sceny pomiędzy Edwardem a Eliaszem; za to przychodziło często pomiędzy Eliaszem a Dyana.

Szereg scen rozpoczął się od tego, że Eliasz postawił matce wyraźnie żądanie pozwolenia wyjazdu z Kamionek.

— Poczekaj, niebądź niecierpliwy, wyjedziesz, sama cię wyprawię: odpowiedziała Dyana.

Eliasz nalegał. Skończyło się na tem, że Dyana przygarnęła go do siebie, w czoło pocałowała i wyjazd wyperswadowała.

Eliasz w kilka tygodni później żądanie ponowił.

Znów się skończyło na całusie i perswazyi, ale się nie skończyło z żadaniami, pojawiającymi się od czasu do czasu a coraz to natarcywiżej.

— Czegóż ci się tak spieszy? pytała zwykle Dyana syna.

Eliasz różne dawał powody: to że chce świat zobaczyć, to krewnych odwiedzić, to, że mu się nudzi. Aż razu pewnego powiedział:

— Chciałbym się ztąd wynieść, ażeby niewiedzieć nieznośnej facyaty tego Edwarda.

Dyane na lica uderzyły płomienie. Potrzebowała więc trochę czasu, ażeby módz się zdobyć na odpowiedź.

— A, mój Eliasz, jesteś fantastyk. Ten człowiek niezawadza ci nic a nic, rzekła po chwili.

— Zawadza, bo na niego patrzeć muszę.

— Niekoniecznie ważny powód, odrzekła Dyana.

Rozmowy tego rodzaju pomiędzy matką a synem szły *crescendo*, podnosząc się stopniowo na coraz to wyższy ton.

— Ja tego człowieka znieść nie mogę, rzekł raz syn.

— A ja go poważam, szanuję, i nie czynię najmniejszej pomiędzy nim a tobą różnicy, odrzekła matka.

Eliasz zębami zgrzytnął. Do tego czasu nie lubił Edwarda i gardził nim; w tej chwili go znenawidził. Rozpieszczone dziecko dowiedziało się, że nie samo wyłącznie w sercu matki panuje. Dziecko to miało już dwadzieścia lat. Niedziw więc, że po jakimś czasie postawiło matce następujące *ultimatum*:

— Albo niech mi matka pozwoli wyjechać, albo ja Edwarda kiedyś za kołnierz przez okno wyrzucę.

— Jedź, rzekła Dyana.

(C. d. n.)

Pamiętniki komedyanta.

P. GYULAIA.

(Z węgierskiego).

(Ciąg dalszy).

Nie potrzebowałem długich przygotowań do drogi, kilka książek i piśmideł, trochę sukien — na tandecie kupionych, stanowiły cały mój majątek. Gdy skończyłem, spojrzalem raz jeszcze na około, czy nie zapomniałem czego, oko me padło na kij stojący w kącie méj izdebki, pochwyliłem go drzącą dłonią. „Będzie dobry na kij żebraczy!” rzekłem wzdychając. Koledzy moi ujrawszy mnie tak przybranego stroili drwinki i sadzili się na dowcipy mówiąc, iż to zapewne jakaś próba nowéj méj roli. Bez wzruszenia opuściłem pokoik, który był świadkiem nie jednéj nieprzespanéj nocy i tajemnego bólu.

Przekroczyłem próg bramy nieledwie radośnie, uczucie me zdawało się być podobnem uczuciu więźnia, który kaźń swą po długim więzieniu opuszcza. Mijając jednak boczną ulicę nie mogłem przewyciężyć na sobie, ażeby zwracając się do kolegium nie wykrzyknąć:

„Już nie usłyszę was więcej wielej mężowie, którzy uczycie z nadętą powagą tego, czego sami nie rozumiecie. Nikt więcej nie będzie się mojemi obyczajami gorszyć: O mądry cnotliwi ludzie! O głupi bezbożny Dawidzie!”

Wychodząc z miasta stanąłem miotany innemi

uczuciami. Moje gniazdo rodzinne, moje drogie miasto ojcyste.

Ileż to wspomnień, ile uczuć powstało teraz w méj duszy! Na drzewie tam, pod którym stałem, ileż to razy wybierałem gniazda ptasie. Na téj dolinie często goniłem motyle; na małym strumyku budowałem młynek i tamy! A tam w miasteczku ta blachą okryta wieżyczka, którą teraz ostatnie promienie zachodzącego słońca ozłacają, stoi wprost uliczki, gdzie mieszka moja matka. Cóż ona teraz porabia? może płacze biedna, a nie ma nikogo, który by jęj lzy osuszyl; może oczekuje swego syna. Ileż to ludzi przechodzi pod jęj oknami, nie ma pamię lzy niemi Dawida.

Jesteś jednakowoż złym synem. Może wzdycha właśnie w téj chwili: „Nie zobaczę już nigdy mego syna!” może biedna płacze noc całą, a może dopiero rano ujrzy ją śpiącą w krześle i marzącą o synie.

Wróć, wróć! muszę ją jeszcze raz widzieć, zamiast przekleństwa przynajmniej niech jęj błogostawieństwo mi przyświeca.

Wróciłem. Wierny pies czuwający koło domu spostrzegłszy mnie zawył boleśnie. Po cichu wsunąłem się do mego pokoiku, rzuciłem się na łóżko i usnąłem. Późnym rankiem obudziłem się. Cisza przerażająca panowała na okół; matka moja zwyczajną była o tym czasie wstawać, spojrzałem na jęj łóżko, leży jeszcze nieporuszona, nachylam się nad nią, zimna, martwa! Słodkimi słowy chciałem ją ocucić, okryłem ją łzami, nie nie pomogło: matka moja umarła.

Wiecie teraz dla czego mnie publiczność takimi oklaskami przyjmuje, gdy na scenie się nad trupem schylam, oto matka moja i boleść nauczyły mnie pierwszej méj roli. Od przekleństwa jednakże nie wybawił mnie nikt.

Héj do diabła! grabarzu zasnąłeś. Wstawaj, wstawaj i grzeb nowy grób. Grzebię moją matkę.

Po kilku dniach byłem już daleko za granicami miejsca mego rodzinnego. Nie spojrzałem nawet na miasto, na cmenatrz, gdzie matka moja spoczywała, na wieżę kościelną, w której cieniu niegdyś kołyska moja bujała. Szedłem szybko, coraz szybciej jak gdybym się lękał, ażeby niewidzialne dłonie nie wstrzymały mnie w drodze.

Na drugi dzień przybyłem do miasteczka, będącego celem méj podróży, Towarzystwo wędrowne dawało tu przedstawienia; chciałem popróbować szczęścia. Trzeba wiedzieć, iż towarzystwo to z lepszych składało się członków wędrownych.

Niedaleko od miasteczka stał gościniec przechrzco ny przez mieszkańców na kawiarnią. Na progu téj gospody stał właśnie, gdym się zbliżał ku nięj, jakiś człowiek w wysokim kapeluszu, okryty długim białym płaszczem z czerwonym kołnierzem, iż tylko żółte bóty z pod niego wyglądały. Strój ten przypominał modę z czasów króla Macieja Korwina.

Pozdrowiwszy go, zapytałem, uprzejmie czyby mi nie mógł wskazać drogi ku miejskiej sali balowój.

„Zapewne chcesz pan zwrócić kroki, ku świątyni Tali i Melpomeny?”

Przywodziłem temu pytaniu.

„I ja tam idę. Co za dziwne — jeśli się mam tak wyrazić — nadzwyczajne spotkanie!”

Słowa te wymówił z takim patosem, iż o mało nie parsknąłem głośno, wstrzymałem się jednak i ograniczyłem na nadmienieniu, iż w spotkaniu tem nie widzę nic nadzwyczajnego.

„Widzisz pan lub nie, to mi wszystko jedno, dość na tem, iż dla mnie jest ono nadzwyczajnem.”

Słowom tym towarzyszył tak straszliwy grymas twarzy, iż ogarnął mię jakiś przestach. Chcąc niejako poprawić błąd mimowolny zapytałem grzecznie:

„Z kim miałem przyjemność zawrzeć znajomość?”

„Możesz się pan pytać o to? Naprawdę to dziwne! Zapewne pan opuściłeś co dopiero szkoły i nie rzuciłeś się jeszcze w wir życia, nie wszedłeś w towarzystwa wielkiego świata, nie wzniosłeś się do tych szczytnych pierwiastków, które mają ci nie Arjadny zastąpić? Nieszczęśliwy młodzieńcze. Widocznie nie znasz jeszcze pierwszych zasad fizyognomii, a tem mniej jeszcze psychologii. Z kim masz zaszczyt mówić? Nie spostrzegłeś na obliczu mem owego czarodziejskiego uroku, jakim sztuka opromienia wybrańców swoich? Czyż z twarzy méj nie bije natęchnienie przenikające całe moje jestestwo... ”

Spojrzałem raz jeszcze, lecz oprócz dwóch guzów i kilku niebieskich plamek na twarzy, nie innego nie spostrzegłem.

„Nie widzisz, że w postaci méj coś nadzwyczajnego, w poruszeniach mych coś wielkiego, szczytnego i upajającego zarazem, nie przyszło ci przypadkiem na myśl, iż człowiek ten stworzony być musi do odtwarzania Cezarów, Don Carlosów, Mortimerów, Lirów, Ferdynandów, Albów i Abellinów?”

Wzrok mój padł po raz trzeci na nieznanego, i pomimo pilnej obserwacji, prócz podartego płaszcza, spostrzegłem tylko okrągły brzusek oparty na maleńkich krótkich nóżkach i wytarty surdut.

„Nie słyszysz, iż nie przemawiam gminnym językiem właściwym ludziom poziomym, a do jakich zapewne pan należysz? Nie podpadła giętkość, przejrzystość mego głosu, który to wzrusza do łez, jak zawodzący skargi wietrzyk, to znowu wkrada się do duszy, jak nucąca na wiosnę ptaszyna, to wywołuje przestach niby grom i burza, a jednak zawsze zdumiewa. Jam wszechwładnym panem mego głosu!”

W rzeczy samęj nikt do mnie takim nie przemawiał tonem.

„Jestem arcykapłanem tutajszej świątyni Tali i Melpomeny, Paweł Bodaky z Vámos-Pire, pierwszy artysta a zarazem dyrektor, zaszczycony przez jego wysokość palatyna rozmaitemi przywilejami, autor tragedii *Więzienie i rusztowanie* czyli ścięcie Władysława Hunyadi, granęj z wielkiem powodzeniem w rozmaitych miastach ojczyzny naszej; w Koszycach wreszcie ogłoszoną została drukiem przez jednego z tamtejszych księgarzy.”

Przy słowach tych zatrzymał się i otarł pot, który osiadł kroplami na jego obliczu. Co za szczęśliwe zdarzenie. Wszak on był dyrektorem, którego szukałem. Drzałem przed nim, jak kiedyś przed nauczycielami moimi i zacząłem wierzyć, iż może być to człowiek trochę dziwaczny, w każdym jednak razie duch genialny a chociaż w podartej odzieży, jest jednak wielkim mężem, podczas kiedy ja jestem tylko naiwnym studentem, który się jeszcze do wzniosłych pierwiastków nie podniósł i nie studiował ani fizjonomii, ani psychologii.

„Po tysiąc kroć proszę o przebaczenie, nie miałem zamiaru ubliżyć szanownemu panu. Mógłżebyś przypuszczać coś podobnego łaskawy panie dyrektorze? Chcę się poświęcić sztuce i wstąpić właśnie do pańskiego towarzystwa. Proszę raz jeszcze o przebaczenie.“

„Co? aktorem? — odezwał się przybierając coraz dumniejszą postawę. „Czytałeś Arystotelesa, Quintyliana, studia Hugona Blairsa? — Wiesz, kim był wielki Roscius, boski Garick, nieśmiertelny Talma? Byłeś kiedy na przedstawieniu sztuk Szekspira, Szylera, Ifflanda, Kotzebuego, Zieglera i tylu innych, których tu wyliczać nie będę. Wiesz co to jest deklamacja, co mimika, a co gestykulacja?“

Chciałem mu przerwać, zapął jednak w jaki wpadł, nie pozwolił mi przyjść do słowa.

„O nie jest to tak łatwe zadanie, jak to wielu, a w szczegółowym wypadku panu się wydaje. Wiele do tego potrzeba, o wiele, daleko więcej, niż wiele, a co mówię jest prawdą. Trzeba poświęcić wszystko, walczyć z głodem, nędzą, trzeba przemocą nieraz wdziarać się w odległe zakątki ze słowem oświaty, cywilizacji, a za to po przedstawieniu jeść chleb suchy, a i tego nieraz brak. Czujesz pan w sobie geniusz, talent, patriotyzm? A wiesz pan co to jest talent geniusz i powołanie? Słyszałeś co o psychologii, powtarzam o psychologii? — Patrz na mnie, całe życie ją badałem. Świat ten *profane vulgus* nazywa mnie włóczęgą. Nędznicy ci nie chcą, czy też nie mogą pojąć, że tylko artystą! — Uczęszczam do gospód, gram w karty, biję się czasami, dla czego? — dla tego, że badam życie w rozmaitych jego objawach. Tak robił Kean sławny tragiczok angielski i tak czyni Paweł Bodaky z Vámos-Pire, wiedz bowiem, iż jestem szlachcicem, czem nawiasem mówiąc Kean nie był. Przypomnij sobie pierwszy moment naszego spotkania. Nie mówiłem zaraz, że jesteś dziwny, nadzwyczajny? Pan żeś przeczył — a teraz — nie mam racji? — Chcesz być artystą — a ja jestem dyrektorem. I jakim dyrektorem! Właśnie kończyłem uczone moje studia, gdy smutna myśl przyszła mi do głowy: kto mnie zastąpi, gdy śmierć przetnie pasmo żywota? Czy poznałeś mnie?“

„Tak panie dyrektorze!“

„A więc dobrze. Pod trafnym kierunkiem możesz wznieść się wysoko. Zresztą zobaczymy. Teraz może w pójść za mną.“

W drodze zachował głębokie milczenie, ja zaś nie śmiałem przerywać jego zadumy. Wkrótce też doszliśmy do miejskiej sali balowej i weszliśmy do wnętrza świą-

tyni Tali i Terpsychory, jak pan Bodaky miał zwyczaj się wyrażać.

„Ósma dawno minęła, próba powinna się była już zacząć, a tych gałganów jeszcze nie ma. Dobrze, wiedz jednak, iż kiedy mówię dobrze, to znaczy tyle, że jest źle, dla nich zaś spóźnienie grozi odciążeniem od gaży!“

Mówiąc to usiadł na krzeselku oblepionem złotem papierem, które zwykle jako tron służyło i począł wypytawać mię o moje stosunki rodzinne.

Wybadawszy mię dostatecznie tak dalej prawił:

„A więc od tej chwili jesteś członkiem towarzystwa mego, po miesiącu próby zawrę z tobą kontrakt. Podczas tego czasu nie dostaniesz żadnej gaży tylko podarunki to jest szynkę i gęsinę, które to od naszych dostajemy wielbiciele. Jeśli zaś gra twoja spodoba się, to o parę złotych nie będzie mi chodziło. Dostaniesz najnowsze jakie tylko będą w kasie. Obowiązki swoje musisz wypełniać punktualnie. Wiesz co to znaczy młodzieńcze? Będziesz grał każdą rolę, która ci przydzieloną zostanie, afisze pisać, karty wstępne porządkować i starać się o rekwizyta. Wszystkój to należy w towarzystwie mojem do najmłodszego aktora. Jutro „Zbójcy.“ Będziesz grał Karola Moora, pierwszy bohater mojej trupy został wczoraj przez nielitościwego wierzyciela wsadzony do kozy, ja zaś gram rolę poważniejszych bohaterów; nie mam zresztą najmniejszej ochoty grać jutro. Musisz więc grać Karola Moora. Studiowałeś kiedy tę rolę?“

„Tak.“

„Podobasz mi się, człowiek wyższych zdolności powinien wszystko znać i umieć, nie ma takiej rzeczy z którejby w życiu użytku zrobić nie można.“

Zaledwie to wymówił, weszło trzech ichmościów ładnie wprawdzie ufryzowanych, lecz w sukniach mocno poniszczonych. Jeden z nich miał trochę lepszy surdut, lecz podarte buty, dwaj drudzy zaś przeciwnie.

Bodaky przywitał ich przekleństwem ujętem w deklamacją.

Przybysze stanęli przed nim uśmiechając się szyderczo.

„Jesteś pan błaznem?“ szeptał jeden.

„Zapewne pan masz w czubku?“ mruzczał drugi.“

„Czyś pan zwaryował?“ dodał trzeci.

Bodaky popadł w gniew, przeklinał, deklamując coraz to gwałtowniej; aktorzy nie zostali dłużni w odpowiedzi, na co dyrektor jeszcze bardziej począł się rzucać i kłać, deklamując całą przytem piersią. Powstała straszliwa burza, dyrektor chciał zapewne ze względu na mnie ratować swą godność, tak srodze w tej chwili zagrożoną i zabierał się do pochwylenia za nogę od tronu, aby przypomnieć ostatnią scenę Makbeta lub Ryszarda, gdy do sali weszła kobieta ustrojona w kapelusz z wielkim piórem.

„Zupełnie jak podczas cygańskiego jarmarku, rzekła głosem stanowczym pani Bodaky; nie szanujesz się i zdaje ci się, że sceny takie zaprawne zółcią nie szkodzą. Wy

panowie zaś moglibyście, choćby tylko ze względu na mnie, poprzestać tej karczemnej zwady.

„Ależ kochanie“ odrzekł uspokojony nieco dyrektor — ależ to straszliwe, nie do zniesienia, co ci ludzie wyrabiają! Na próby nigdy regularnie nie przychodzą, zamiast studyować swe role, włóczą się tylko i hańbę sztuce przynoszą.

Po całych nocach piją, w karty grają. Ot patrz, dotąd nie wytrzeźwieli. Wczoraj był dzień wypłaty, zakładałam się, że przepili i przegrali całą gażę, i nie zapłacili ani grosza z swych długów. Niedługo wsadzą ich wszystkich do dziury, jak mego dzielnego Romea; zostaną wkrótce sam, jak Maryusz na gruzach Kartaginy wraz z tobą droga Elizo;“ a zwracając się sentymentalnie do żony i biorąc jej rękę dodał — „wgnany aniele, gwiazdo błędząca na niebie ojczystej sztuki naszej, wieńcu laurowy będący nagrodą walk mych dotychczasowych, kwiecie jedyny burzliwej i smutnej zimy życia mojego, czyż moglibyśmy grać we dwójkę? Pisali poeci dramata na dwie osoby? Czyż można zredukować. Z pięcioma osobami da się cokolwiek jeszcze zagrać, ale w dwójkę niepodobna. Na miłość boską mó wcie, odpowiadajcie, radzcie.

Aktorzy zarzucali dyrektorowi, że i on także włóczy się po gospodach i nie szczędził podejrzenia, iż pewnie wszystko co wpłynęło do kasy przegrał lub przepił.

Sprzeczka ta, która przybierała coraz to groźniejsze rozmiary, zakończyła się wprowadzeniem przez jednego z podrzędniejszych aktorów na wpół pijanego suflera. Dyrektor zaczął mu wyrzucać, iż nie tylko fałszywie podpowiada i naraża całe towarzystwo na śmiech publiczności, lecz że pije za trzech. Żona dyrektora przypominała sobie, iż gdy grała Amelię, zamiast podpowiadać, szepnął: „pani, suknia cię opada“ ona to w patosie roli powtórzywszy na śmiech całego audytorium się narażiała.

Sufler mały czarny człowiek słuchał wszystkiego cierpliwie, usiadłszy na ruinie jakiegoś zamku; na pół uśmiechając przypatrywał się całemu towarzystwu i rzekł spokojnie do dyrektora:

„Jeśli mi pan nie zapłacisz zaraz całej pensji miesięcznej, nie będę suflerował.“

„Każę cię wsadzić do dziury“ rzekł dyrektor.

„Ja jednak nie będę podpowiadał“

„Więc dobrze“ rzekł posępnym tonem dyrektor, „masz tu te kilka groszy, które ci się należą. Wiedz jednakże, że nie ma w tobie tej iskry świętej, znamionującej artystę, lecz jesteś zwyczajnym, nędznym suflerem, któremu obcem jest poświęcenie się dla sztuki, dla patriotyzmu, który niezdolnym jest do ofiary na ołtarzu Talii, wszystko jednak robi za parę marnych groszy. Rumieńcem wstydu powinno oblać się twe oblicze!

„Teraz będę suflerował“ rzekł mały człowiek w odpowiedzi na wyrzuty dyrektora i wcisnął się do swjej budki.

Próba zaczęła się i minęła prawie bez przeszkód. Koledzy moi spoglądali z pewną zazdrością na pierwsze

sceny moje, dyrektor obsypał mię oklaskami, co się także nie koniecznie do popularności między kolegami moimi przyczyniło.

Dzień ten wiecznie mi stać będzie w pamięci; o piękne dni młodości mojej jakżeście bezpowrotnie minęły; nie mam już łez, aby was opłakiwać, tylko przekleństwa mam dla tych, którzy mi je zrabowali, lecz są to przekleństwa żebraka ulicznego, które dawca jałmużny za błogosławieństwo tegoż przyjmuje.

III.

Nadszedł wreszcie wieczór. Z jakimże utęśnieniem wyglądałem go, mimo, że strachem mnie przejmował. Bojaźń i nadzieja, żądza pozyskania sławy i trwoga utracenia raju, jaki wymarzyła sobie dusza moja, miały mną na przemian i nieoleddie doprowadziły mnie do zemdlenia.

Jakież pożądaną wydałaby się nam w takich chwilach śmierć i jakimi snami napełniłaby ściany grobowe! Umrzeć, ale umrzeć u progu wyidealizowanego powołania, skonać w świętej, nie doznawszy rozczarowania, chwili natchnienia, wśród drogi usłanej najszczytniejszemi nadziejami bez gorzkich wspomnień zmarnowanego żywota, bez klątwy, i goryczy na uścich... Ach, jak niewielu jest artystów, którzyby na podobieństwo wszechwładnego Zeusa zapanowali na Olimpie, umierając przytem, wprowadzili harmonią pomiędzy życiem a sztuką, jak n. p. Goethe i Rubens, którzy przy uroku wielkich artystów umieli być szczęśliwymi zarazem.

I któżby zdołał opisać, co się ze mną działo, gdy po raz pierwszy przeczytał me imię po rogach ulic? Któż potrafi opowiedzieć słowami, co tam wibrowało w tkance mózgowej mej głowy, gdy usłyszał zapełniające się audytorium? Co się wreszcie działo we mnie, na pierwszy odgłos dzwonka?

Stałem na kulisami, bezwiedny, martwy, lecz z płomienną głową, w gorączce, i zdawało mi się, że zamienił się w słup ognisty.

Przyjęto mnie oklaskami i cóż w tem dziwnego, w wysmukłym, pięknym młodzieńcu, inna gorzała siła, jak w panu Bodakym. Biegałem chyżo po scenie, jak pajac jaki — machając przy tem rękoma, a kogożby to nie oczarowało, lub też nie porwało z wyjątkiem naturalnie znawcy? — Cóż mi do tego, że parafiańskie panienki przenoszą zgrabną smukłą postać w obcisłych trykotach nad artystyczno-plastyczne pozy. Cóż mi do tego, że publiczność ta bardziej smakuje w wymuskany frazesiku, niż głęboko obmyślanym i należycie przeprowadzonym charakterze. — Mnie wystarcza oklask, którego demoniczną przeczułem siłę, jak Faust, zabierający się do związku z aniołem grzesznej, ognistej, młodzieńczej umiętności.

Wy nie wiecie, czem dla aktora poklask. Poklask jest tem dla niego, czem dla gracza owo upajające wzbu-

rzenie, ten powab potężny, owa niepojęta władza, jaka przykuwa go do stołu gry, on dla niego tem, czem dla bohatera huk dział pośród walki, jęki konających, lub też śpiew tryumfalny tych, co to z krwawych i morderczych wyszli zapasów; czem muzyka a nadewszystko miłosne szepty rozkosznych dziewic dla tego, który raz jeszcze chce pełną piersią zaczerpnąć powabu życia, żeby umrzeć potem. — Oklask jest dlań Bogiem i szatanem, snem jego, jego miłością i poezją, nagrodą, którą pozyskawszy pogardza, bez niej jednak żyćby nie potrafił; on jest mu jedyną pociechą smutnego żywota, która kilkoma nieraz kroplami zdoła osłodzić całe oceany smutku i boleści, chwałą wreszcie i sławą jego, która tu tylko mu się objawia, gdyż aktor nie jest ani malarzem, ani muzykiem, którym niewdzięczna współczesność choć późno, toć przecie hołd swój składa. — Aktor to własność jednego jedynego często roku, jednego miasta, jednego budynku, nikt zresztą sobie go nie przypomni, mało kto wie, że żył, że żyje jeszcze.

Jest on królem i niewolnikiem zarazem publiczności, którą zmuszonym jest to ubóstwiać, to nienawidzić. Rzadko tylko tłumy zdołają podnieść się ku niemu, częściej on zniewolonym jest skłonić się do ich stóp. O, ileż to razy musi każdy aktor rzekać się swoich najszczytniejszych idei i rzucać na poniewierkę własny geniusz, oto tylko dla tego, aby niepostradać łask u kapryśnego tłumy, aby pozyskać jego poklask i móżdż choćby chwilami tylko, napawać się owym odurzającym nektarem, który nowe wlewa życie w jego nerwy, elektryzuje go, odurza, trawi wreszcie. . .

Po drugim akcie publiczność jeszcze żarliwiej biła oklaski, a nawet bukiet rzucono mi na scenę. Być może, iż to było straszną naiwnością, lecz takie złożenie hołdu memu talentowi oddziało na mnie gwałtowniej, niż pochwały stu naraz krytyków. Zaledwie o dziesięć kroków od sceny siedziało niewinne, młodzieczne dziewczę. W czasie całego przedstawienia spoglądało z największą uwagą na scenę. W kilku trudniejszych scenach oklaski téj nadobnej istoty dodawały mi odwagi i zapału. Ona to, porwana grą moją czy też cierpieniami rozbójnika Karola Moora, rzuciła prawie bezwiednie bukiet pod moje stopy. Bukiet ten — noszę do dnia dzisiejszego tak samo na sercu, jak pamięć jój przechowuję w sercu. O biedna, łagodna, niewinna, mała dziewczeczko! Brak ci tylko skrzydełek, aby ulecieć do nieba. Tyś była aniołem, lecz jednym z aniołów lorda Byrona zstępujących z nieba na ziemię.

Z czoła jój bił zapożyczony od bóstwa odbłask niebiański, a w sercu mieszkał grzech będący dziedzictwem Kaina. O ty pełna fałszu kobieto! kobieto! Czemużem cię taką pokochał miłością? Dla czegoż lękam się dzisiaj ciebie? O północnej godzinie zjawia się mi w biały utulona całun, z włosom rozpuszczonym i załamując ręce woła ze łzami: Zabij mię jutro, lecz dzisiaj jeszcze pozwól mi żyć!“

I wtedy to kwiat poczyna jeżyć się na mój piersi,

kluje mię gdyby z samych był kolców i dławi mię niby zapach zabójczy jadowitych roślin. . .

. . . „Pogaście światła! Duchy lubują się w ciemnościach i unikają jasności!“ tak powiedziano w jednej z moich ról. . . Podajcie wina, znużonym.

Lecz na czemże się zatrzymałem? Ach, mam już wątek. Długie z tego wywiązały się dzieje, wielki powstał haos. „Któż to był? pytam się, nie wstyd ją? w obec całej publiczności. Ach, Boże, jak zepsuta jest młodzież dzisiejsza. Matki kiwały zgorzone głową, dziewczęta szczebiotały sobie coś na ucho, mężczyźni uśmiechali się, słowem publiczność grała, a myśmy był widzami.

Zaledwie się uspokoiło, zaledwie wdrożyłem się na nowo w mą rolę, aliści znowu straszne *intermezzo* zakłóciło przedstawienie. Grałem właśnie jedną z najkiekniejszych scen wydobywając z wzburzonej piersi pełne gromu słowo: A pomszczę się, pomszczę ciebie! znieważony świętokradzko, sponiewierany starcze! W obliczu nieba przeklinam każdą kroplę krwi braterskiej! Od téj chwili zrywam na zawsze związki braterskie.“ Przysięgając w ten sposób zemstę, pochwyliłem za szeroki kołnierz aby odpowiednio do instrukcyi zedrzeć go z mojej szyi, gdy w tem za kulisy odezwał się rekwizytor: „Nie rozdzieraj pan kołnierza, jeśli go nie chcesz zapłacić, pożyczę od pani notaryuszowej, która rozkazała ostrożnie się z nim obchodzić!“ Straciłem przytomność umysłu, wodziłem błędnym i niemym do koła wzrokiem, publiczność poczęła się niecierpliwić, byłem już bliskim fiaska, gdy w tem oko moje znowu padło na piękną, niewinną dziewczeczkę. Nie wiem śmiała się li, płakała, czy też coś mi wskazywała, dość, że wzrok jój tyle dodał mi otuchy tyle zapału, iż zdawała mi się być moją Amelią; powtórzyłem przekleństwo i rozdarłem kołnierz pani notaryuszowej. Z wszystkich zakątków sali teatralnej zahuczała burza oklasków, powodzenie moje było ustalonem. — Reszta scen powiodła mi się jeszcze lepiej, obsypano mię oznakami najwyższego zadowolenia, wywołano kilkanaście razy, a gdy koledzy moi zazdrosne i gniewne rzucali na mnie spojrzenie, namaściła mię moja Eliza skrytym pocałunkiem na artystę.

Bodaky zaś, któremu tryumf mój zresztą nie zdawał się być od razu pożądanym, odezwał się do mnie z powagą: „Za jakie lat sześć, jeśli zechcesz notabene, nad sobą panować, możesz mi dorównać!“

Niebawem sławnym stałem się człowiekiem. Całe miasto znało mię, o mnie jedynie mówiono w komitecie. *) Po za jego granicami naturalnie możnaby mię było wiaść łaćno za druciarza słowackiego, lub handełasa żydowskiego, lecz cóż to mię mogło obchodzić, dość, że byłem sławnym w moim zakątku. Nadałem się też pychą i zdawało mi się, że obowiązkiem jest każdego oglądać się za mną na ulicy, że w towarzystwach o mnie powinni tylko mówić i miałem ku temu poniekąd i powód. Piękności

*) Kemitet znaczy tyle co nasz powiat.

Przypisek tłumacza.

miasteczkowe nasełały mię mnóstwem biletów miłosnych, darzyły podarunkami jak biżuteriami i koszulami haftowanymi, pularesikami i innymi cackami. Nosilem na bakiery kapelusze, nucalem wesołe piosenki, bylem swobodny, zadowolony z siebie i poczytywałem się za jednego z najszczęśliwszych między śmiertelnikami. Przy tem wszystkim jednakże piękne dziewice nie miały dla mnie powabu. Prezenta wprawdzie przyjmowałem, na listy jednak nieuważałem za potrzebne odpowiadać. Chciałem, aby tęschniły za mną, zdawało mi się bowiem, że tym sposobem obudzi się w nich jeszcze większy zapal. Było to świetne wspaniałe życie, podobne do barwnej tęczy lub ogona nadętego pawia. Szkoda tylko, wieczna szkoda, że tak krótko trwało. Ach, życie nasze podobnem jest, jak opiewa Ossian do snu strzelca, który zasypia przy blasku pogodnego słońca, a budzi się w chwili szalejącej burzy. Dla czegożem więcej kochał sztukę, niż przystało na uczciwego komedyanta?

Syt byłem sławy, a kadzidla poczęły mię już nudzić. Stałem się na pozór skromniejszym, w duszy jednak obudziło się poczucie godności własnej; byłem z siebie samego niezadowolony, poczęłem szukać samotności i tęschnić za naturą.

W zmroku trapiły mię jak dawniej marzenia i widziadła i przedstawiały mi się tak uroczo, tak ponętnie jak niegdyś; przebudzenie było tem boleńsze. Łzy już nie koiły mój boleści, przeciwnie, paliły mnie. Wawrzyny kwitnące na mój skroni, upakarzały mnie tylko, — szum strumyka drażnił me nerwy, olbrzymie skały zdawały się szydzić zemnie, a w duszy mojej piekielne brzmiały słowa, „Jesteś rzeczywiście tak wielkim artystą, jak ci się wydaje?“ Nie miałem ani chwili spokoju, scena wydała mi się katownią. Wiedząc, że jestem partaczem, brzydziłem się sobą, nienawidziłem widzów, mając ich za półgłówków . . .

Wśród rzęsiwych oklasków, czulem, że gdyby autor granicy sztuki zjawil się na scenie, wygnałby mnie niechybnie, krytyk jednak musiałby zawołać: „Idź synu mój uprawiać zagon lepiej, żal mi ciebie, o idź.“

Co dzień to w innym kierunku starałem siebie doświadczać, a każda taka próba sprawiała mi nowe cierpienia. Grając np. rolę pijaka, czulem, że postać przedstawiała trzeźwego; jako Romeo byłem także tylko w słowach kochankiem; grając Brutusa, byłem podobniejszym do Rakocznego; czy się rzecz odbyła w tym, czy w przeszłym wieku, czy w salonowej, czy w kostiumowej roli, to mi było zupełnie jedno. Byłem rzeczywiście jeden i ten sam, zawsze deklamującym, i recytowałem mą rolę, jak mnie nauczył Bodaky. Niedługo jednak musiałem uznać, że nie mam żadnego pojęcia o charakteryzowaniu. Role kochanków, bochaterów, mtrygantów, grałem na jedną manierę, do tego patetyczny ton, nienaturalne gesta, wykrzywiwanie twarzy czyniły je jeszcze niesmaczniejszymi. Chwilami miotala mną rozpacz, to znowu zstępowała w duszę nadzieja i ta dodawała mi znowu sił do wytrwania w mym zawodzie.

Badałem namiętności ludzkie, studyowałem życie i zatapiałem się w Szekspirze. O jak odmiennymi zdawały mi się te wiersze teraz, niż wtedy, gdy tylko niektóre śmiałe obrazy, zaciekawiające zdarzenia, zdołały zająć mój umysł.

Teraz dopiero poczęłem odczuwać wspaniałą poezję namiętności, olbrzymią siłę charakterów, teraz dopiero poczęłem pojmować, czem jest artyzm dramatyczny. Niezdołałem jednak jeszcze ująć poezją moją w należycie określone formy. Byłem podobnym w tej chwili do człowieka w letargu, który widzi, słyszy, wie co się z nim dzieje, a znaku życia dać nie może. „Któż mnie oswobodzi z tego przekleństwa ciężącego na mnie?“ wołałem w rozpacz rozbijając lustro, przed którym całymi dniami ćwiczyłem się w oddawaniu tego lub owego charakteru, zawsze jednakże widziałem tylko siebie i siebie tylko. To jedynie dodawało mi odwagi, iż przyszedłem do przekonania, że wiele umiem, dla tego, że właśnie nic nie umiem, że wkrótce będę umiał wszystko, bom zapomniał tego czegoś się pierwój wyuczył.

C. d. n.

JAKÓB DE TRÉVANNES.

przekład z francuskiego

F. W.

(Ciąg dalszy).

Aurora przekonała się, że obawy jój były płonne. Zapewne Ryszard chciał z nią mówić o zamiarach, których w skutek zachowania się jego względem siebie dawno się domyślała. Umyśliła raz położyć koniec tym nie-

wczesnym zabiegom i oznaczyła mu godzinę przyjęcia. Na-
zajutrz Ryszard przyszedł o oznaczonej godzinie; Regina
była właśnie w pokoju Aurory, gdy służący oznajmił jego
wizytę.

— Trzymaj się dobrze! mówiła żartując Regina, oto nieprzyjacieli! . . . Przynosił się na oświadczenie.

Wejście Ryszarda przeszkodziło odpowiedzi Aurory. Wzruszył się, ujrawszy panią Berthoret.

— Wiem, że to rendez-vous, rzekła wstając, zostałam tylko, aby pana powitać, a teraz do widzenia.

Podala mu rękę i wskazując na opróżniony przez siebie fotel obok swej przyjaciółki, wyszła.

— Przychodzi pan z swym dobrym uczynkiem? . . . ozwała się Aurora do Ryszarda, mniej swobodnie, jakby to była chciała.

— Tak pani, z dobrym uczynkiem i ze spiskiem!

— Jaktó ze spiskiem?

— Och! spisek z rozkazu pokojowego i pobożnych intencji, odparł śmiejąc się, nawet pełen powabu dla umysłu takiej jak pani kobiety . . . jeżeli zechcesz stanąć na jego czele! . . .

— W przemowie pana zanadto wiele pochwał, sprawa pana musi być okropną.

— Wcale nie, a wygrana jój byłaby pewna.

— O cóż wreszcie chodzi?

— O biedną pokutującą duszę, której możesz wrócić raj utracony; chodzi o moją siostrę.

Aurora zadrżała.

— O panią de Trévannes? wyszeptwała.

— Tak, odparł patrząc bystro na nią. Przychodzę pomówić z panią o Genowefie. Znasz pani smutne położenie tego małżeństwa, które dwie takie osoby jak Genowefa i Jakób mogło uczynić tak szczęśliwym. Przeklęta ciotka, którą niechaj Bóg błogosławi, kiedy dzisiaj jesteśmy od niej uwolnieni, wpłynęła tak źle na nich. Cel naszego spisku jest połączenie ich.

Aurora miała czas zapanować nad sobą.

— Ale nie pojmuję wcale, odpowiedziała w czem moje pośrednictwo mogłoby być potrzebne w tak delikatnych okolicznościach, przypuszczając już, że musiałyby być niedyskretne.

— O! byłoby one bardzo ważne, zaręczam pani, odparł żywo. Jakób jak i my wszyscy ma cześć dla pani usprawiedliwioną zresztą jój rozsądkiem. W Glycines uważaliśmy dobry wpływ pani na nim. Zażyłość pani z Urszulą i pobyt kilkotygodniowy w rodzinie odkryły jój tajemnicę nieznaną światu, a w której pośrednictwo pani nie mogłoby być teraz niedyskretne. Jakób jest przyjacielem pani. Cóż naturalniejszego, że Genowefa powierza się jój opiece i prosi przeze mnie o pomoc.

Aurora czuła, że błędnie; ale zanadto dobrze odgadnęła, że miłość jój jest zagrożoną, aby nie pokryć zmieszania. Zapanowawszy nad skrupułami, chciała zbadać zamiary uknowane bez wiedzy Jakóba, aby je rozchwiać i obronić swe życie.

— Pan i siostra jego, przypisujecie mi wpływ na pana de Trévannes, którego nie posiadam, ozwała się Aurora, ale przypuszczając, że go posiadam, nie sędzę, aby umysł równie stały jak jego, mógł nakłonić się łatwo do czyjegós zdania, w okoliczności tak ważnej, kiedy chodzi nie tylko o szczęście pani de Trévannes, ale i o jego własną godność; zresztą duma jego, jak panu wiadomo poniosła cios, którego zapewne tak prędko niezapomni. Bez wątpienia, że rozłączone małżeństwo może żyć na pozór spokojnie i ukrywać przed światem niezgody i rozczarowania, po za którymi powrót do zgody jest niepodobnym, przyznasz pan jednak, że trudno jest kobiecie w moim wieku stawiać się odpowiedzialną za rady w podobnych sporach. Zresztą pani de Trévannes ma lat 20 i chociaż obecnie poddaje się pod sąd zimnej rozważki, którego pan jako brat jesteś obowiązany od niej żądać, być może, że tam, gdzie pan spodziewasz się zabezpie-

czyć jój przyszłość, ona nie znajdzie później nic, prócz żalu i rozczarowania.

Ależ oni będą mieli dziecię, odparł Ryszard przezywając. Dziecko! ten węzeł łączący ich wspólnie. Ona go kocha, uwielbia i gotowa błagać Jakóba na kolanach o przebaczenie niedorzecznej obelgi, której biedna ani nawet pojmowała, chce przyjąć stanowisko, jakie on jój stworzy, choćby nawet życie pracy i ubóstwa.

— Ona go kocha! zawołała Aurora. Ona! . . .

— Tak, kocha go! odparł Ryszard, pomimo dawnej oziębłości i nieczulego obchodzenia . . . Co pani chcesz? . . . Oddana opiece starej waryatki, która podsyciała jój próżność i prawie zepsuła serce, nie nauczono ją niczego, prócz próżności życia. Sposób takiego wychowania jest fatalny. Ale czy Jakób nie wzruszyłby się tą miłością budzącą się równocześnie z poważnym obowiązkiem macierzyństwa? Czyby śmiał wątpić o niej, pokornej, pokutującej i nawróconej?

Aurora czuła się przygnębioną nagle tem odkryciem. Zazdrość szarpała jój serce; chciała się bronić, stłumić w sobie uczucie litości.

— Obawiam się, że pan de Trévannes nie przyjmie łatwo tego późnego nawrócenia się, rzekła sucho.

— Niestety! właśnie dla tego biedna moja siostra ucieka się do pośrednictwa pani, odparł Ryszard. — Kto wie? Jedno słowo pani ocaliłoby ją . . . i w swoim rozpaczliwym położeniu powzięła myśl wzbudzić interes pani swą sprawą. Jesteś pani zanadto rozsądna, aby działać lekkomyślnie i zanadto szczerą przyjaciółką Jakóba, aby wystawiać go na popełnienie nieużytecznej przykrości. Posłuchaj pani i sama osądź ich obojga. Przyniosłem jój listy Genowefy pełne łez i drżących obaw. Otóż są, powierzam je pani, a przeczytawszy je osądzisz, czy pokazać je mężowi, którego tak kocha, a nam ofiarować swą pomoc.

Tak okrutna boleść ścisnęła sercem Aurory, że z trudnością mogła odpowiedzieć. W szczeroci duszy przelałszy się obłudnej swój roli, wahała się dać odmowną odpowiedź, którą miała na ustach. Te listy, zawierające w sobie tajemki serca Genowefy, pociągały ją, pragnęła zbadać tę boleść, grożącą jój nadziejom.

— Zostaw mi pan te listy . . . rzekła.

— Ach jesteśmy ocaleni, zawołał Ryszard, wiedziatem dobrze, że ona może liczyć na panią.

Skoro odszedł Ryszard, Aurora pobiegła do swego pokoju i z rozpaloną głową, czytała chęciwie.

Glycines . . .

„Jakób odjechał do Szafuzy, drogi mój bracie, dom pusty teraz. Nie wyobrażasz sobie, jakie wieczory są długie; niekiedy w zapomnieniu patrzę na drzwi, zdaje mi się jakoby wchodził. Nie nudzę się, jestem smutna, rozważam. Zkąd ta boleść? Czyż odjazd Jakóba wpływa na jakąkolwiek zmianę mego życia? Czyż przyjeżdżając do Glycines nie byłam przygotowaną na swoje nieszczęście? Dla czegoż więc te smutki? Dla tego mój Ryszardzie drogi, bo uznaję sama, że dotąd pędziłam życie szalone. Jestże to podobieństwem, że byłam jego żoną i nie poznałam się na nim? O tak! kocham go! kocham go całą duszą! tak bardzo, że umrę z tego opuszczenia. Teraz, kiedy jesteś tak daleko, nie mam już téj nadziei, którą udawało ci się mnie łudzić. Wiem, że Urszula jest dobra i pociesza mnie, że ty jesteś najlepszym z braci i wszystko będziesz robić, aby mnie ratować. Ty mi go wrócisz, mówisz? — Ach! wspieraj mnie w tych strasznych męczarniach, które mnie zabijają. Pisz do mnie

często, bardzo często; niechaj twoje listy zastąpią mi te miłe gawędki, w których doszłam do podzielenia twego zaufania. Niestety! nie odrzuciłamże jego przywiązania, i dzisiaj kiedy ono dla mnie stracone, mamże prawo uskarżać się?...

„Chciałabym uwierzyć ci, skoro mnie zapewniasz, że odpowiadasz za wszystko; pozwalam ci czynić co chcesz, ale czyż mogę się nie lękać?... Niekiedy zdaje mi się, że ten anioł mający się urodzić, przyniesie mi podwójne szczęście. Gdyby też dla niego, ojciec jego miał być mi wrócony? ale czyż to nie sen i czyż przyszłość ma dla mnie co innego prócz samotności, pogorszonej jeszcze memi żałami?“

Glycines ...

„Wczoraj odebrano list od niego. Pan de Trévannes czytał go nam głośno i widziałam, że był zmieszany trochę, nie znajdując w nim wspomnienia o mnie... Nie wiem, czy Urszula wpłynęła już na swego wuja, albo czy on mnie odgaduje, ale okazuje mi więcej serdeczności jeszcze, jak w pierwszych czasach. Niestety! nie, ani słowa! Widzisz mój Ryszardzie, już nie jestem dla niego. W istocie nie jestem dla niego zawsze tą dawną Genowefą, szaloną, próżną, niewdzięczną istotą, która tak niegodnie go obraziła? Jednakże stałam się bardzo pokorną podczas tych paru dni, w których go tu widziałam. Gdyby tylko to był zauważył? Czasem gniewam się na siebie, że byłam zanadto nieśmiała... kto wie?... może powinnam była z nim mówić, błagać go w imię naszego dziecka, powiedzieć mu co to dziecię ze mnie zrobiło, wyznać mu wreszcie, że go kocham. Ale nie, nigdy bym na to się nie odważyła... Nie byłby mi uwierzył, nie byłabym mogła go przekonać... Zabiłam jego przywiązanie, koniec, wszystkiemu koniec...“

Glycines ..

Dobrze, poddaję się wszystkiemu drogi mój bracie, staram się nawet nie wierzyć w twój rozsądek i w tę nową mądrość, przychodzącą u ciebie nagle jak piesz, razem z tym zębem, który ci wyrasta i nabawia cię bólu. Uśmiełam się z twego listu... a potem płakałam nad nim. Nie łaj: tym razem płakałam prawdziwymi łzami szczęścia, widząc ile mnie kochasz... Bo jakżeż nie ufać, po tem co mi piszesz? Tak, pojmuję, że trzeba aby pracował, aby nadał swemu umysłowi sprężystość, której niebaczną nie wstydziałam się kępować, kiedy powinnam była napawać się dumą, na tę myśl, że jestem jego żoną. Tak, niechaj będzie wolnym i panem swego życia i mego, choćby miał nas wszystkich poświęcić swemu dziełu, duszę i serce, ciało i mienie. Ale, mój Boże! cóż jestem Niestety? I czegoż jeszcze po mnie może się spodziewać? —

Nie, nie, nie marszcz brwi, już milezę!... Jednakże możesz sobie wyobrazić, że jeszcze cokolwiek się lękam.

Ty, który dawniej tak bardzo nakazywałeś mi go kochać, gdybyś wiedział, jakim ja sama przyszła do tego... Wierzyłbyś, że jestem zazdrosna odczytując twe listy z Afryki? tak zazdrosna, znajdując w nich tyle miłości i poświęcenia dla niego!... Twoje uwielbienie, twoja wiara w jego prawość i dobroć... Wszystko to wydaje mi się kradzieżą, chciałabym — sama tylko go rozumieć, znać go, kochać, Niestety, czy to tylko nie za późno? Biedny, drogi męczennik! nie dosyć, że mu odebrałam odwagę, nie dosyć, że go zapoznałam i odrzuciłam! Ryszardzie mam ci powiedzieć dla czego mam nadzieję?... Dla tego, że miłość moja ku niemu przyszła

mi przez moje dziecko. Nie uwierzysz ile te słodkie cierpienia wstrząsają duszę, ciałem i wszystkimi tętnami serca. W tej boskiej tajemnicy jest jakby poczucie nas samych; zdaje nam się, że żyjemy dopiero od dnia w którym to podwójne życie w nas się obudziło, matkami będąc, dopiero stajemy się kobietami. Poruszenie się tej małej istoty przypomina nam o każdej godzinie tego, który nam ją dał i wkrótce zespalamy ich obojga w naszej myśli. Postępuję podług twoich rad, aż do owego dnia, w którym będę mogła błagać go o przebaczenie z dzieckiem na ręku. Wiem o nim tylko tyle, ile mi mówi Urszula, lub ty — osądź czy listy twoje nie są pożądane!... Prosiłam pana de Trévannes o plan Paryża, aby zobaczyć ulicę Assas i Luksemburg... Całem sercem jestem tam... Powiedz czy Bóg nie okazał nademną cudu?... Spuścił na mnie łaskę, a dawne moje lekkomyślne życie wydaje mi się niedobrym snem...

„Napisz mi o wszystkim co on robi. Ucieszyłam się usłyszawszy, że się z nim spotykasz u pani Berthoret. Chodź tam często. On cię kocha, czuwał nad nim. Czy ma wszystko co potrzebuje w swoim kawalerskim mieszkaniu? Jeżeli możesz, mów z nim czasem o mnie, ale ostrożnie; strzeż się rozgniewać go przed stanowczą godziną... Mój Boże, gdyby jeszcze wtedy miał wątpić o mnie... Ale będzie nas dwoje... Tak, tak skarbie mojej duszy, ty zmięczysz twego ojca... Ryszardzie, jestem szalona, ale kocham cię bardzo. A ty, którego zdaję się zapominać w samolubnej gadaninie! wydajesz mi się prawie nieśmiałym, co daje dowód mój bracie, że jesteś także wzruszonym...“

„Otwieram napowrót mój list!... Wiesz co mi się stało? Chciałam pieczętować list, w tem wchodzi Urszula... List od Jakóba! — Oboje drżeliśmy, syn i matka, kiedy ona czytała: *Dziękuję za dobre nowiny.* — Ach jak miło mieć nadzieję!“

W miarę jak postępowała w czytaniu, Aurora czuła, że wzmagały się jej obawy i że miłość Genowefy nie była urojeniem; była to zabijająca rzeczywistość, ona także była zazdrosną, że inna go kochała. Z głową na rękę opartą, z oczami utkwionemi w te karty przepętnione słowami miłości, truchlała na myśl, że ma rywalkę!

Glycines ...

„Trzy razy już pisał do Urszuli nie wspominając o mnie, i znowu czarne myśli zaczynają mnie dręczyć... Przyjdź mi na pomoc bracie kochany, nie mam nikogo prócz ciebie... Dodaj mi otuchy, uwierz! Chcę mieć nadzieję. Tak się czuję samotną, daleko od niego. Czasami bierze mnie ochota pojechać do Paryża i pobięgnąć na ulicę Assas...“

Chciałabym go widzieć, choćby raz tylko. Każden z twoich listów dodaje mi odwagi, a potem znów popadam w smutek.

„Gdybyście też tak wszyscy się mylili? Czyż on nie ma racji mnie nienawidzić? Mógłże zapomnieć? A zresztą czyż mam czas przekonać go?“

„Jakto Ryszardzie, często odwiedzałeś go w jego gniazdku? Piszesz mi w paru słowach, że mieszka ładnie i to wszystko! — Gdybyś też tak, jak kiedy nie będzie go w domu kazał przynieść kilka doniczek kwiatów z oranżeryi; może mógłbyś powiedzieć, gdyby był dobrze usposobiony, że to była moja myśl... Ty będziesz wiedział jak zrobić, jeżeli zauważysz, że to jest możebnem...“

Glycines ...

„Doktor wreszcie przestaje mnie pilnować i pozwala mi napisać kilka słów. Dziecię jest przy mnie, w po-

daszce, — tylko trochę nachylił głowę i już mogł je pocałować. — Jaki on mu podobny. Miałby nie rozczulić się na jego widok? Biedny kochaneczek, on śpi. Patrząc na jego śliczne różowe usteczka i białe czoło, możnaby myśleć, że marzy we śnie. Te małe aniołki przynoszą zapewne z sobą coś ze swojej niebiańskiej ojczyzny, ale jakżeż matki robią się gadatliwe! Męczę cię, mówiąc ci o moim synie, a jednak mam ci coś ważnego do powiedzenia, dobrą, doskonałą myśl, którą mi nasunęła Urszula względem pani de Ploëven. Ona ma wielki wpływ na Jakóba. Gdybyś tak chciał wzbudzić jój interes ku mnie, rady jój miałyby wielką wartość...“

Skończywszy czytanie, Aurora pozostała w odrętwieniu. Gorzkie łzy płynęły spokojnie po jój twarzy, była chwila, że myśli jój tak się splątały, iż został jój tylko jeden zmysł: to jest dotkliwego cierpienia. Martwym okiem patrzyła na rozrzucone listy, których woń przypominała jój oddech Genowefy; listy miłosne, które miał czytać Jakób. Dla czegożby nie miał o nich wiedzieć? Czyż Ryszard nie byłby mu ich pokazał?... Na te myśli zazdrość szarpała jój sercem. Jak ona go kochała! zdawało jój się zaraz, że Jakób mniej ją kocha, przeczuwała, że interwencja o którą ją prosili, była początkiem zaciętej walki. Ryszard powiedział jój przecie: że Genowefa będzie błagać przebaczenia z dziecięcim na ręku. Na to wspomnienie, Aurora czuła rumieniec występujący na jój twarzy, porównyując swoje prawa z prawami matki i małżonki. — Gdyby też tak zawahał się pomiędzy obowiązkami ojca, a obowiązkami kochanka? Przygnębiona, z nieruchomym okiem, myślała o prośbie swój rywalki proszącej ją o pomoc i powierzającej jój swe bóle. Naraz okrutne podejrzenie powstało w jój umyśle. Może Ryszard wiedział o wszystkim, może doszedł prawdy stosunku jój z Jakóbem, może uczynił ten krok, aby wzbudzić w niej litość i powierzeniem tych listów zniewolić ją do poświęcenia siebie samej, miłości Genowefy. Ryszard bowiem kochał ją; tyle razy już lękała się o swoją ukrytą miłość, kiedy wzrokiem zdawał się czytać jój myśli. Serce czasami ulega dziwnym przeżyciom?

Przypomniła sobie tysiące zapomnianych zdarzeń, spotkanie Ryszarda, kiedy wychodziła z Jakóbem z teatru. — Po cóż wreszcie te wszystkie odkrycia tajemnic, tylko, aby jój dać poznać, że Genowefa nie zrzeka się swych praw, że ma zamiar poszukiwać ich i, że on będzie ją bronić. Nie byłaż że ona dla nich obcą; a otwartość Ryszarda względem Jakóba czyż potrzebowała czyjogo poparcia? Pierwszą jój myślą było odesłać te listy i odmówić po prostu z wysokości swój dumy, tak obłudnej roli. Ale wtedy byłaby w niebezpieczeństwie, bo Ryszard mógłby wszystko sam odkryć Jakóbowi?

Po strasznej walce miłość zwyciężyła; umyśliła skłamać przed wszystkimi i Jakób o niczem nie miał wiedzieć.

Nazajutrz na przyjęcie Ryszarda stała się twardą jak głaz.

— Czytałam, rzekła z uśmiechem na ustach, jestem wzruszona, przekonana, ujęta; użyję wszelkich środków, aby się udał nam spisek.

Ryszard wydał okrzyk radosny i dziękował jój z uniesieniem.

— Jednakże, dodała podniesionem głosem, proszę pan pani de Trévannes, aby mi zostawiła trochę czasu.

— Tyle, ile pani będzie się podobać! przerwał Ryszard, odnosimy się w tym względzie do jój taktu, rozsądku i serca.

Z sposobu w jakim Ryszard wypowiedział te słowa, ze spojrzenia na nią rzuconego, Aurora przyjęła, że wiedział wszystko. Zostawił ją pod naciskiem dręczącej pewności, że odgadł ją od dawna, zachowując sobie pośrednictwo na pomyślną chwilę. Chociaż przekonana o prawości Jakóba, odkryła w tem niebezpieczeństwo. Pewna, że żadna przeszkoda nie może zająć w ukończeniu rozwodu, mającego zrobić go wolnym, położyła w nim zaufanie kochanki i żony, zapominając nawet pierwszych wrażeń swego upadku, nabawiającego ją takim cierpieniem. Żudzona swym snem i pożerana namiętnością, utrzymując ją ciągle jakoby w gorączy, oddała się bez powrotu temu dziwnemu romansowi swego życia, przedstawiającego jój się teraz w nagiej rzeczywistości. Naprzekór kompromisom, które wynajdujemy wszyscy, aby usprawiedliwić nasze własne błędy, widziała jasno czem się stała: miała kochanka.

Dwa dni niepewna i niespokojna, nie śmiała wyznać Jakóbowi uczynionego wystąpienia Ryszarda. Mimo to spostrzegł jój zakłopotanie, ale na jego troskliwe zapytania, unikała odpowiedzi.

— Co pani jest? rzekł do niej pewnego wieczoru, ściskając jój ręce z tą słodką powagą, której wpływowi nie mogła się oprzeć.

— Jakóbie!... szepnęła złamanym głosem, obawiam się!...

— Obawiasz się?... powtórzył głęboko zdziwiony.

Naglona przez niego, wyznała mu nadzieje Ryszarda, Urszuli i Genowefy, i nawet to, że proszono ją o pomoc.

— Gdyby też błagano cię, abys mnie opuścił?... zawołała uniesiona obawą.

— Dziecko!... odparł tonem łagodnego wyrzutu, nie wiesz, że jestem twoim i że żadna siła w świecie nie zdolna mnie od ciebie odciągnąć.

— Ale gdyby Genowefa sama... wreszcie gdyby cię kochała? mówiła dalej przestraszona temi słowy.

— Dziecko! powtórzył, nie wiesz, że to za późno i trzebaż ci przypominać, że cię kocham?

Ale urojenia serca wezmą zawsze górę nad rozsądnym rozumowaniem.

Aurora myślała o bronienu się, przeczuwała instynktem, że nastąpiła straszna walka.

Ryszard powrócił wkrótce do pałacu pani Berthoret.

— Jakżeż?... mówiłaś pani o tem?... zapytał Auroy.

— Tak, odpowiedziała dziwnym tonem, ośmieliłam się tylko na nieśmiały wstęp.

— Nic to nie szkodzi! Zawsze to już pierwsza próba, odpowiedział z szczerem uśmiechem.

(C. d. n.)